

JUSTIN CRONIN

AUTOR BESTSELLEROWEGO *PRZEJŚCIA*

REGUŁY GRY SIĘ ZMIENIŁY...

DWUNASTU

ALBATROS

PROLOG

Z pism Pierwszego Kronikarza (*Księga Dwunastu*)

Przedstawionych na Trzeciej Globalnej Konferencji Poświęconej

Okresowi Północnoamerykańskiej Kwarantanny

Centrum Badań Kulturowych i Konfliktów

Uniwersytet Nowej Południowej Walii, Republika Indoaustralijska

16–21 kwietnia 1003 rok po wybuchu epidemii

[Początek fragmentu]

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1. Na świecie zapanowało zło. Sercem ludzi zawładnął duch wojny i dopuszczali się niegodziwości na wszelkich istotach żywych, zamieniając ziemię w krainę śmierci.
2. Bóg wejrzał ze smutkiem na swoje stworzenie, bo Jego duch opuścił człowieka.
3. I rzekł PAN: Podobnie jak za dni Noego, ziemię ogarnie wielki potop, lecz tym razem będzie to potop krwi. Potwory zamieszkujące ludzkie serca staną się ciałem i pochłoną wszystkich, którzy staną im na drodze. I zostaną nazwane wirolami.
4. Pierwszy będzie żył pośród was, podając się za człowieka prawego i ukrywając zło w swoim wnętrzu. Kiedy dosięgnie go choroba, stanie się podobny demonom, a jego widok będzie wzbudzał przerażenie. Stanie się on ojcem zniszczenia, a imię jego Zero.

5. Ludzie zaczną mówić: „Czyż ta istota nie jest najpotężniejszym z żołnierzy? Czy armie naszych wrogów nie odłożą broni, żeby zasłonić oczy na jego widok?”.
6. Z najwyższych kręgów władzy wyjdzie dekret nakazujący wybranie dwunastu przestępców, aby mieli udział w krwi Zero i stali się demonami jak on. A ich imiona połączą się w jedno imię Babcock-Morrison-Chávez-Baffes-Turrell-Winston-Sosa-Echols-Lambright-Martínez-Reinhardt-Carter. I będą nazwani Dwunastoma.
7. Zostanie też wybrana spośród was osoba o czystym sercu i umyśle, dziecko, które zdoła stawić im czoło. I ześlę znak, aby wszyscy mogli je poznać, a znakiem tym będzie wielkie zamieszanie wśród zwierząt.
8. Będzie to Amy, której na imię Miłość: Amy Dusz, Dziewczyna Znikąd.
9. Znak został dany w mieście Memphis, przy wtórze wycia, pisku i trąbienia zwierząt. Tą, która go ujrzała, była Lacey, siostra w Bożych oczach. I rzekł PAN do Lacey:
10. Zostałaś wybrana, żeby być towarzyszką Amy i wskazywać jej drogę. Pójdiesz za nią wszędzie, dokąd się uda. Twoja podróż będzie mozolna, trwająca wiele pokoleń.
11. Będziesz jak matka dziecka, które powołałem, aby uzdrowić skażony świat. Amy stanie się jak arka, w której ocaleją dusze sprawiedliwych”.
12. Lacey uczyniła wszystko, co nakazał jej Bóg.

ROZDZIAŁ DRUGI

1. Później zabrano Amy do pewnego miejsca w Kolorado, gdzie znalazła się w niewoli u złych ludzi. Przebywali tam w kajdanach Zero i Dwunastu. Ci, którzy pojмали Amy, chcieli, żeby stała się jedną z nich i połączyła się z nimi duchem.
2. Kiedy przetoczyli jej krew Zera, pogrążyła się w omdleniu, jakby umarła, ale nie zginęła ani nie przybrała odrażającej postaci, bo Bóg nie pozwolił, aby tak się stało.

3. Wiele dni pozostawała we śnie, aż wydarzyła się wielka katastrofa, jakiej nie było ani nie będzie. Dwunastu i Zero uciekli, żeby się zniszczenie i śmierć na ziemi.
4. A był tam mąż, który zaprzyjaźnił się z Amy. Pożalował jej i wywiozł z tego miejsca. Był nim Wolgast, człowiek sprawiedliwy wśród swojego pokolenia, umiłowany przez Boga.
5. Wolgast zabrał Amy i zawiózł do Oregonu, w odludne góry. Mieszkali tam w czasie nazywanym rokiem zerowym.
6. W tamych dniach Dwunastu pustoszyło oblicze ziemi swoim wielkim głodem, zabijając każdą żywą istotę. Ci, którzy nie zostali pożarci, przyłączyli się do nich duchem. Dwunastu zamieniło się w miliony, z których powstało dwanaście plemion wirol. Każde składało się z Wielu. Przemierzali oni ziemię bez imienia i pamięci, niszcząc wszystkie żywe istoty.
7. Mijały kolejne pory roku. Wolgast był dla Amy jak ojciec, bo nie miała nikogo, a on nie miał własnych dzieci. I ją pokochał, a ona pokochała jego.
8. Zauważył też, że Amy nie była taka jak on ani żaden człowiek stępujący po obliczu ziemi. Nie starzała się ani nie czuła bólu, nie potrzebowała pożywienia ani odpoczynku. I zaczął się lękać, co się z nią stanie, kiedy go zabraknie.
9. Później w okolicy zjawiał się człowiek pochodzący z Seattle. Wolgast zabił go, żeby nie stał się demonem wśród nich. Bo świat był miejscem potworów i oprócz nich nie pozostała żadna żywa istota.
10. W ten sposób żyli jak ojciec i córka, troszcząc się o siebie aż do dnia, gdy niebo rozbłysło oślepiającym blaskiem zbyt jasnym, aby można było nań patrzeć. Następnego ranka w powietrzu pojawiła się cuchnąca woń, a wszystko wokół pokrył popiół.
11. Światło, które ujrzeli, było światłem śmierci. Sprawilo, że Wolgast zapadł na śmiertelną chorobę. Amy została sama i błakała się samotnie po opustoszałym obliczu ziemi, mając za towarzyszy jedynie wirole.
12. W ten sposób upłynęły cztery dwudziestolecia i dwanaście lat.

ROZDZIAŁ TRZECI

1. W dziewięćdziesiątym ósmym roku życia Amy przybyła do miasta w Kalifornii, do Pierwszej Kolonii liczącej cztery dwudziestki i dziesięć dusz mieszkających za murami. Byli to potomkowie dzieci, które wysłano z Filadelfii w Poprzednich Czasach.
2. Ludzie przerazili się na jej widok, bo nie mieli pojęcia o świecie. Oskarżyli ją o wiele rzeczy i uwięzili. Powstało tak wielkie zamieszanie, że musiała uciec wraz z kilkorgiem towarzyszy.
3. Byli to Peter, Alicia, Sara, Michael, Hollis, Theo, Mausami i Cholewka. Wszyscy byli prawi i pragnęli poznać świat za murami miasta, w którym mieszkali.
4. Pierwszym wśród nich był Peter, drugą Alicia, trzecią Sara, a czwartym Michael. Także pozostali byli błogosławieni w oczach Boga.
5. Wyszli z miasta pod osłoną ciemności, żeby poznać tajemnicę zagłady świata. Wyruszyli w sześciomiesięczną podróż do Kolorado, podczas której przemierzali pustkowia i stawiali czoło wielu przeciwnościom.
6. W Las Vegas schwytano ich i postawiono przed obliczem Babcocka, pierwszego z Dwunastu, bo mieszkańcy miasta byli niewolnikami Babcocka i jego Wielu. Żeby przeżyć, w porze nowiu składali w ofierze dwóch spośród siebie.
7. Amy i jej towarzysze zostali zapędzeni w miejsce ofiarne i stoczyli walkę z Babcockiem, który okazał się strasznym przeciwnikiem. Wielu straciło życie. Później uciekli z tego miejsca, żeby uniknąć podobnego losu.
8. Jeden z nich poległ – chłopak zwany Cholewką. Amy i jej towarzysze pochowali go i oznaczyli miejsce na pamiątkę.
9. I ogarnął ich wielki smutek, bo Cholewka był najbardziej umiłowanym pośród nich. Nie mogli się jednak ociągać, bo ścigał ich Babcock i jego Wielu.
10. Po pewnym czasie Amy i jej przyjaciele dotarli do domu nietkniętego ręką czasu. Bo Bóg go pobłogosławił, czyniąc ziemią świętą. Miejsce to nazywało się Farmą. Odpoczywali tam bezpiecznie przez siedem dni.

11. Dwoje z nich postanowiło pozostać w domu, bo kobieta była brzemienista. Urodziła dziecko i nazwała je Caleb, umiłowany Boga.
12. Reszta udała się w dalszą drogę, zostawiając tych dwoje.

ROZDZIAŁ CZWARTY

1. Po wielu dniach i nocach Amy i jej towarzysze dotarli do Kolorado, gdzie napotkali oddział wojskowy liczący pięć dwudziestek żołnierzy. Był to korpus ekspedycyjny wysłany z miasta w Teksasie.
2. W tamtym czasie Teksas był miejscem schronienia na ziemi. Żołnierze wyruszyli, żeby toczyć walkę z wirolami, przysięgnawszy oddać życie za braci.
3. Jeden z towarzyszy Amy postanowił do nich dołączyć i został żołnierzem sił ekspedycyjnych. Była to Alicia, którą zwano Ostrą. Do ich grona przyłączył się Lucius zwany Wiernym.
4. Nie mogli pozostać tam dłużej, bo nadciągała zima. Czworo z nich chciało wyruszyć w podróż z żołnierzami do Teksasu, ale Amy i Peter postanowili, że dalej pójdą sami.
5. Po wielu dniach wędrówki przybyli do miejsca, w którym kiedyś przebywała Amy, i tam, na najwyższej górze, ujrzeli anioła PANA. Anioł rzekł do Amy:
6. „Nie lękaj się, bo jestem taki jak Lacey, którą pamiętasz. Czekalem tu wiele pokoleń, aby wskazać drogę tobie i Peterowi, który jest Mężem Dni. Został wybrany, aby stanąć u twojego boku”.
7. Podobnie jak za czasów Noego, Bóg postanowił dać ludziom wielki statek, aby mogli się przeprawić przez wody zagłady. Tym statkiem była Amy, Peter zaś miał wyprowadzić swoich towarzyszy na suchy ląd.
8. Bo PAN zapragnął uczynić pełnym to, co złamane, i udzielić pocieszenia duszom sprawiedliwych. To wydarzenie zostanie nazwane Przejściem.
9. Później anioł Lacey wezwał z ciemności Babcocka, pierwszego z Dwunastu, i rozegrała się wielka bitwa. Lacey rozgromiła go wybuchem światła, powierzając swego ducha PANU.

10. W ten sposób Wielu Babcocka zostało uwolnionych spod jego jarzma i przypomnieli sobie, kim byli w Poprzednim Czasie: mężczyznami i kobietami, mężami i żonami, rodzicami i dziećmi.
11. Amy przechadzała się wśród nich, błogosławiąc każdemu, bo zamiarem Boga było, żeby stała się statkiem, który przewiezie ich przez długą noc zapomnienia. Później ich dusze opuściły ziemię i umarli.
12. W ten sposób Amy i jej naśladowcy dowiedzieli się, co ich czeka, choć ich podróż była trudna i znajdowali się na początku drogi.

1

SIEROCINIEC ZGROMADZENIA SIÓSTR MIŁOSIERDZIA, KERRVILLE W TEKSASIE

Później, po kolacji i wieczornej modlitwie, i kąpieli, jeśli tego dnia przypadała kąpiel, i po negocjacjach, które zawsze kończyły dzień („Proszę, siostrzo! Błagam, opowiedz jeszcze jedną historię!”), kiedy dzieci wreszcie zasnęły i zapadła cisza, Amy siadała i na nie patrzyła. Nie istniały zasady, które by tego zabraniały, a siostry przywykły do jej nocnych wędrówek. Niczym zjawa snuła się po pograżonych w ciszy salach, przesuwając się bezszelestnie między rzędami łóżek, w których spały dzieci, ufnie położywszy głowy na poduszkach. Najstarsze skończyły trzynaście lat i stały na progu dorosłości, najmłodsze były niemowlętami. Każde miało własną, zwykle ponurą historię. Wiele było trzecim dzieckiem porzuconym na progu sierocińca przez rodziców, których nie było stać na zapłacenie podatku. Inne spotkał bardziej okrutny los. Matki umierały w połogu albo były niezamężne i nie mogły znieść hańby. Ojcowie znikali w ciemnych zaułkach miasta albo byli wynoszeni za mur. Dzieci miały różne pochodzenie, ale wszystkie czekało to samo: dziewczynki miały wstąpić do Zgromadzenia, a chłopcy mieli zostać żołnierzami wojsk ekspedycyjnych, złożwszy inną, choć nie mniej wiążącą przysięgę.

Mimo to w snach pozostały dziećmi, pomyślała Amy. Chociaż jej dzieciństwo było odległym wspomnieniem przypominającym wymyśloną historię, to obserwując śpiące małeństwa i przypatrując się snom igrającym pod ich powiekami, miała wrażenie, że znowu jest małą istotą, niewinną i nieświadomą zbyt długiej podróży, jaką jest jej życie. Minio-

ny czas był w niej jak przepastna otchłań, bo przeżyła tak wiele lat, że nie mogła odróżnić jednego roku od drugiego. Może właśnie dlatego przechadzała się między śpiącymi dziećmi – może robiła to, aby nie zapomnieć.

W końcu stawała przy łóżku Caleba, bo zawsze na nią czekał. Nie był niemowlęciem, ale pięcioletnim chłopcem, silnym i energicznym, jak wszystkie dzieci. Zadziwionym światem, radosnym i otwartym. Po matce odziedziczył wysokie kości policzkowe i oliwkową skórę typową dla jej rodziny. Od ojca dostał nieustępliwy wzrok, mroczny i badawczy, i szorstką ciemną czuprynę, którą ludzie z Kolonii nazywali włosami Jaxona. Jego cechy fizyczne przypominały układankę, wziął coś od każdego członka swojej rodziny. Amy widziała ich w jego oczach. Chłopiec był synem Mausami i Theo, a jednocześnie istotą odrębną i niepowtarzalną.

– Opowiedz mi o nich.

Co noc powtarzali ten sam rytuał, jakby chłopiec nie mógł zasnąć bez powrotu do przeszłości, której nie pamiętał. Amy usiadła wygodnie na brzegu pryczy. Pod kocem rysowało się szczupłe ciało małego dziecka. Dwudziestka śpiących maluchów otoczyła ich chórem milczenia.

– Dobrze – zaczęła. – Od czego mam zacząć? Twoja mama była bardzo piękną kobietą...

– I wojownikiem.

– Tak. – Amy skinęła z uśmiechem głową. – Pięknym wojownikiem o długich czarnych włosach, splecionych w warkocz wojownika.

– Potrafiła strzelać z łuku.

– Właśnie, ale przede wszystkim była nieustępliwa. Wiesz, co to znaczy? Tłumaczyłam ci to już.

– Była uparta?

– Tak, ale w dobrym znaczeniu. Jeśli każe ci umyć ręce przed obiadem, a ty odmówisz, nie postąpisz właściwie. Wykażesz zły upór. Twoja mama była nieustępliwa, bo zawsze robiła to, co uważała za słuszne.

– Dlatego mnie urodziła – powiedział z naciskiem malec. – Bo przyniesienie światła na świat... było słuszne.

– Znakomicie. Widzę, że pamiętasz. Nigdy nie zapominaj, że jesteś jasnym promyczkiem, Calebie.

Twarz chłopca się rozpromieniła.

– Opowiedz mi o Theo. O moim ojcu.

– O twoim ojcu?

– Proooszę!

Amy się uśmiechnęła.

– Dobrze. Opowiem ci o twoim ojcu. Był bardzo odważny. Był dziel-
nym człowiekiem i bardzo kochał swoją mamę.

– Ale był smutny.

– To prawda, był smutny, ale właśnie to czyniło go odważnym. Nie
cował się przed największymi wyzwaniami. Wiesz, co to oznacza?

– Że nie stracił nadziei.

– Tak. Nie stracił nadziei, choć sytuacja wydawała się beznadziejna.
O tym również nie wolno ci zapominać. – Pochyliła się i pocałowała go
w ciepłe, wilgotne czoło. – Późno już. Pora spać. Jutro czeka nas kolejny
dzień.

– Czy oni... czy oni mnie kochali?

Pytanie chłopca ją zaskoczyło. Właściwie nie samo pytanie, bo powta-
rzał je wiele razy, czekając na potwierdzenie, ale niepewność pobrzmie-
wająca w jego głosie.

– Oczywiście, Calebie. Mówiłam ci to wiele razy. Bardzo cię kocha-
li. Nadal cię kochają.

– Bo są w niebie?

– Właśnie.

– Tam będziemy na zawsze razem. Niebo jest miejscem, do którego
powraca ludzka dusza. – Odwrócił wzrok. – Mówią, że jesteś bardzo
stara.

– Kto tak mówi, Calebie?

– Nie wiem. – Owinął się kołdrą niczym kokonem, lekko wzrusza-
jąc ramionami. – Wszyscy. Inne siostry. Słyszałam, jak rozmawiały.

Wcześniej nie poruszali tego tematu. Amy sądziła, że tylko siostra
Peg zna jej historię.

– No cóż, jestem starsza od ciebie, to wiem na pewno. Wystarczają-
co stara, aby wiedzieć, że pora spać.

– Czasami ich widzę.

Te słowa ją zmroziły.

– Jak często ich widzisz, Calebie? – Chłopiec nie patrzył na nią, a jego oczy miały dziwny wyraz, jakby zaglądał do swojego wnętrza.

– W nocy. Kiedy śpię.

– Kiedy śnisz? Czy to miałeś na myśli?

Chłopiec nie odpowiedział. Dotknęła jego ramienia przez koldrę.

– To nic złego, Calebie. Możesz mi o tym opowiedzieć, kiedy będziesz gotowy.

– Nie widziałem ich we śnie. To było inaczej. – Znów spojrzał jej w oczy. – Ciebie też widziałem, Amy.

– Mnie?

– Tylko że byłaś inna. Nie taka jak teraz...

Czekała, aż dokończy zdanie, ale nie powiedział nic więcej. Jak to inna?

– Tęsknię za nimi. – Młec westchnął.

Skinęła głową rada, że zmienił temat.

– Wiem, że tęsknisz. Kiedyś ich zobaczysz, ale tymczasem masz mnie. I wujka Petera. Wkrótce wróci do domu, wiesz?

– Z oddziałem... eskpudacyjnym. – Twarz chłopca zabłysła postanowieniem. – Kiedy dorosnę, zostanę żołnierzem jak wujek Peter.

Amy jeszcze raz pocałowała go w czoło i wstała, zamierzając odejść.

– Jeśli zechcesz, zostaniesz żołnierzem. Teraz czas spać.

– Amy?

– Tak, Calebie?

– Czy ciebie ktoś tak kochał?

Kiedy pochyliła się nad łóżkiem chłopca, ogarnęły ją wspomnienia. Ujrzała wiosenną noc i wirującą karuzelę. Poczuła w ustach smak waty cukrowej. Zobaczyła jezioro i domek w lesie. Poczuła uścisk wielkiej dłoni oplatającej jej rączkę. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Myślę, że mnie kochano. Mam nadzieję.

– A wujek Peter?

Ściągnęła brwi i spojrzała zdumiona na Caleba.

– Dlaczego o to pytałeś?

– Nie wiem. – Kolejne wzruszenie ramion i lekki grymas zakłopotania na twarzy. – Bo tak na ciebie patrzy i zawsze się uśmiecha.

– Cóż... – Starła się niczego nie okazać, ale nie była pewna, czy jej się to udało. – Uśmiecha się, bo jest rad, że cię widzi. Teraz śpij. Obiecujesz, że zaśniesz?

Caleb westchnął.

– Obiecuję.

■ ■ ■

Choć na dworze paliły się światła, nie było tak jasno jak w Pierwszej Kolonii, bo Kerrville było na to zbyt duże. Oświetlano tylko mury miasta, a na niebie lśniła korona gwiazd. Amy wyszła na dziedziniec, trzymając się cienia. Odnalazła drabinę u podstawy wałów. Nie próbowała się ukrywać. Na szczycie wyszedł jej naprzeciw mężczyzna w średnim wieku, o szerokim torsie, z karabinem przewieszonym przez pierś.

– Co tu robisz? – spytał.

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo nagle zmrzył go sen. Amy ułożyła jego bezwładne ciało na pomoście, opierając plecy o mur i kładąc mu karabin na kolanach. Wiedziała, że gdy się obudzi, wspomnienie będzie graniczyć z halucynacją. Dziewczyna? Jedna z siostr noszących szorstki szary habit? Może nie obudzi się sam, ale zostanie wyrwany z drzemki przez towarzyszy i zniesiony z murów. Za spanie na posterunku dostanie kilka dni aresztu. Nic wielkiego. W każdym razie nikt mu nie uwierzy.

Amy ruszyła pomostem w kierunku pustej platformy obserwacyjnej. Patrole zjawiały się co dziesięć minut. Nie potrzebowała więcej czasu. Snopy reflektorów oświetlały ziemię w dole, ich światło wyglądało jak lśniący płyn. Amy zamknęła oczy, odchrząknęła i poszybowała myślami ponad polem rozciągającym się za murem.

– Chodźcie do mnie. Chodźcie do mnie, chodźcie do mnie, chodźcie do mnie.

Przybyli, wyłaniając się z ciemności. Pierwszy, a po nim drugi i kolejni, tworząc lśniącą falangę przyczajoną na skraju cienia. W głowie słyszała głosy, niemilknięce głosy. Głosy i pytanie.

Kim jestem?

Czekała.

Kim jestem, kim jestem, kim jestem?

Bardzo za nim tęskniła. Za Wolgastem, który ją kochał. Gdzie jesteś? – pomyślała ze ściśniętym sercem, bo w jej wnętrzu zaczęło kielkować coś nowego, bo noc w noc coraz dotkliwiej odczuwała jego brak. Dlaczego zostawiłeś mnie samą? Ale nigdzie nie widziała Wolgasta, nie wyczuła go w powietrzu, nie dostrzegła na niebie, nie usłyszała w powolnym wirowaniu ziemi. Człowiek, którym był, odszedł na zawsze.

Kim jestem, kim jestem, kim jestem, kim jestem, kim jestem, kim jestem?

Czekała, dopóki starczyło jej odwagi. Mijały minuty. W końcu usłyszała zbliżające się kroki. Wartownicy.

– Jesteście mną – powiedziała do nich. – Jesteście mną. Odejdźcie. Rozpierzchły się w ciemności.

2

STO DWADZIEŚCIA KILOMETRÓW NA POŁUDNIE OD ROSWELL, NOWY MEKSYK

Porucznik Alicia Donadio – Ostra Alicia, Nowa Istota, adoptowana córka wielkiego Nilesa Coffee, snajper zwiadowca Drugiego Korpusu Ekspedycyjnego Armii Republiki Teksasu, zaprzysiężona i ochrzczona – obudziła się, czując w powietrzu woń krwi.

Miała dwadzieścia siedem lat i metr siedemdziesiąt wzrostu, silne ramiona i rude, krótko obcięte włosy. Jej oczy, kiedyś błękitne, teraz płonęły pomarańczową poświatą niczym bliźniacze węgle. Podróżowała z niewielkim bagażem, bez zbędnego obciążenia. Na nogach miała płóciennne sandały z podeszwą z wulkanizowanej gumy, dzinsy wytarte na kolanach i siedzeniu oraz bawełnianą koszulę z obciętymi rękawami, aby można ją było szybciej włożyć. Na jej piersi krzyżowały się dwa skórzanne pasy z sześcioma stalowymi nożami tkwiącymi w pochwach, które były jej znakiem rozpoznawczym. Do tego kusza wisząca na plecach na szorstkim powrozie z konopi. W kaburze na udzie znajdowała się jej ostatnia deska ratunku: półautomatyczny browning czterdziestkapiątka, z magazynkiem mieszczącym dziewięć naboí. Osiem plus jeden, jak mówiła. Osiem kul dla wiroli, jedna dla niej.

Osiem, a później jedna i koniec.

Miasto nazywało się Carlsbad. Upływ lat zebrał swoje żniwo, wmiatając je do czysta niczym gigantyczna miotła. Jednak niektóre budynki przetrwały: puste łuski domów, zardzewiałe wiaty, milczący i zrujnowany dowód upływającego czasu. Alicia cały dzień odpoczywała w cieniu stacji benzynowej – której metalowe zadaszanie jakimś cudem przetrwało – obudziła się o zmierzchu i wyruszyła na łowy. Zabiła zającą – jeden strzał z kuszy w szyję. Później obdarła go ze skóry, upiekła nad ogniskiem z jądłoszynu i zaczęła jeść, odrywając łykowate kawałki mięsa z udźca, pod którym trzeszczał ogień.

Nie spieszyła się.

Była kobietą z zasadami, przestrzegającą rytuałów. Nie zabiłaby śpiącego wirola. Nie używała broni palnej, jeśli mogła się bez niej obyć. Karabiny robią dużo hałasu, na dodatek są niecelne, niewarte zachodu. Zabijała nożem, szybko i cicho, albo bełtem kuszy, czysto i bez wyrzutów sumienia. Zawsze z błogosławionym miłosierdziem w sercu. Mówiła: „Wysłałam was do domu, bracia i siostry. Oswobadzam z niewoli waszego istnienia”. Kiedy już nie żyli, wyciągała broń ze śmiertelnej rany, dotykała rękojęścią czoła wirola, a później piersi, głowy i serca, jakby konsekrowała w ten sposób ocalenie tych biednych stworzeń, w nadziei że nadejdzie dzień, gdy nie zawiedzie jej odwaga i sama zostanie wybawiona.

Poczekwała do zmierzchu, zgasiła ognisko i wyruszyła.

Od wielu dni szła szeroką równiną porośniętą niskimi zaroślami. Na południu i zachodzie majaczyły cienie gór, opadających wzgórzami w dolinę. Gdyby Alicia kiedykolwiek widziała morze, mogłaby pomyśleć, że to miejsce je przypomina. Że jest niczym dno wielkiego śródlądowego oceanu, a usiane jaskiniami góry, zatrzymane w czasie, są pozostałością gigantycznej rafy koralowej z epoki, gdy lądy i wody zamieszkiwały niewyobrażalne potwory.

Gdzie jesteście? – pomyślała. Gdzie się ukrywacie, moi bracia i siostry krwi?

Była kobietą o trzech wcieleniach, dwóch przed zarażeniem i jednym po. W pierwszym wcieleniu była zwykłą małą dziewczynką. Jej świat wypełniały niewyraźne postacie i rozbłyски światła, przepływał przez nią jak powiew wiatru we włosach, nic nie mówiąc. Miała osiem lat, kiedy

Pułkownik zabrał ją nocą za mur otaczający Kolonię i zostawił samą, nie dając nawet noża. Przesiedziała całą noc pod drzewem, nie przestając płakać. Gdy odnalazło ją poranne słońce, była inną osobą. Zmieniła się. Nie była już dziewczynką. „Czy teraz rozumiesz?”, spytał Pułkownik, klękając przed siedzącą na ziemi Alicią. Nie próbował jej pocieszać, ale patrzył prosto w oczy jak żołnierz. „Czy teraz rozumiesz?” Odpowiedziała, że tak. Jej przypadkowe życie było pozbawione sensu. Porzuciła je. Tamtego dnia złożyła przysięgę.

Ale to było dawno temu. Była wtedy dzieckiem, później stała się kobietą, a jeszcze później... No właśnie, kim stała się później? Trzecią Alicią, Nowym Stworzeniem. Nie była wirolem ani człowiekiem, ale w jakiś sposób jednym i drugim. Dziwnym połączeniem, złożoną, wewnętrznie rozdartą istotą. Wędrowała między wirolami, niewidzialna, należąc i nie należąc do ich świata, jawiąc się niczym duch przed ich duszami. W jej żyłach krążył wirus, ale jego działanie równoważył inny, pochodzący od Amy, Dziewczyny Znikąd. Wirus z jednej z dwunastu fiolek, które Amy wrzuciła do ognia. Krew Amy ocaliła jej życie, choć uczyniła coś jeszcze: sprawiła, że ona, porucznik Alicia Donadio, snajper zwiadowca wojsk ekspedycyjnych, była jedyną taką istotą na świecie.

Czasami, właściwie bardzo często, sama nie wiedziała, kim jest.

Wgramoliła się na wiatę – dziurawą pokrzywioną konstrukcję na pół zagrzebaną w piasku, z pochyłym metalowym dachem.

Nagle coś poczuła...

Było to dziwne doznanie, jakiego wcześniej nie знаła. Wirus nie wyposażył jej w moc, ta była wyłącznie udziałem Amy. Amy przypominała *yin*, a Alicia *yang* – miała siłę i szybkość wirolu, ale była uwolniona od niewidzialnej sieci, która je ze sobą splatała, łączyła jedną myśl z drugą.

A może nie? Czyżby coś wyczuła? Tamtych? U podstawy czaszki pojawiło się mrowienie. W głowie rozległ się cichy szmer, ledwie słyszalne słowa: *Kim jestem, kim jestem, kim jestem, kim jestem, kim jestem, kim jestem?*

Dostrzegła trzy wirole. Wszystkie były kiedyś kobietami. Wyczuła też coś więcej. Czy to możliwe? W każdym tliło się słabe wspomnienie. Ręka zamykająca okno i bębnienie kropel deszczu. I ptak o barwnych piórkach śpiewający w klatce. Widok z progu na ciemny pokój i dwójkę

małych dzieci, chłopca i dziewczynkę, śpiących na łóżkach. Alicia ujrzała te obrazy, jakby były jej wspomnieniem – widoki i dźwięki, zapachy i emocje, spłot czystego istnienia, jak trzy małe ogniki tłące się w jej wnętrzu. Na chwilę opanowały ją wspomnienia, zamarła w niemym zadziwieniu, w obliczu okrucieństw utraconego świata. Świata Poprzedniego Czasu.

Oprócz tego było jednak coś jeszcze. Każde z tych wspomnień otaczała przepastna i bezlitosna ciemność. Ciemność tak nieprzenikniona, że Alicia poczuła się do głębi wstrząśnięta. Ciekawe, co to było, pomyślała. Chwilę później wiedziała. Sen człowieka o nazwisku Martínez. Julia Martíneza z El Paso w Teksasie, Dziesiątego z Dwunastu, skazanego na śmierć za zamordowanie oficera Korpusu Pokoju. Alicia miała odnaleźć Martíneza.

W swoim śnie Martínez gwałcił kobietę imieniem Louise – której wypisane zamazystym pismem imię widniało na kieszeni bluzki – jednocześnie dusząc ją kablem.

Drzwi szopy ledwie wisiały na zardzewiałych zawiasach. Mało miejsca. Alicia wołała więcej przestrzeni, zwłaszcza gdy miała do czynienia z trzema. Podkraśla się, podążając za czubkiem kuszy, i wślizgnęła się do szopy.

Dwa wirole zwisały do góry nogami z krokwi, a trzeci przykucnął w kącie, z mlaskaniem pożerając kawał mięsa. Przed chwilą zjadły widłoroga. Resztki zwierzęcia wałyły się na ziemi – fragmenty sierści, skóry i kości. Drzemiące po posiłku wirole nie zauważyły, kiedy weszła.

– Dobry wieczór paniom.

Wystrzeliła z kuszy do jednego z wiszących na krokwi. Głuchy odgłos uderzenia i nagle przzerwany pisk. Ciało runęło na podłogę. Pozostałe zaczęły się podnosić. Drugi wirol uczepony belki przyciągnął kolana do piersi i wylądował na łapach o potężnych szponach. Kiedy potoczył się w drugą stronę, Alicia odrzuciła kuszę i wyciągnęła nóż. Płynnym ruchem posłała wirujące ostrze w kierunku trzeciego, który podniósł się i spojrzął w jej stronę.

Dwa załatwione. Został jeszcze jeden.

Łatwa sprawa. Nagle okazało się, że była w błędzie. Kiedy sięgała po drugi nóż, ostatni wirol wykonał obrót i złapał jej rękę z taką siłą, że

ostrze zatoczyło łuk i znikło w mroku. Zanim stworzenie zdążyło zadać kolejny cios, Alicia runęła na podłogę i potoczyła się w drugą stronę. Kiedy podniosła się z kolejnym nożem w ręce, wirola już nie było.

Cholera.

Podniosła kuszę z ziemi, nałożyła belt i wybiegła na dwór. Gdzie, u licha, się podział? Dwoma szybkimi susami wskoczyła na dach szopy. Wylądowała z głośnym hukiem i rozejrzała się. Po tamtym ani śladu.

Chwilę później wirol wyrósł za jej plecami. Zrozumiała, że to pułapka. Musiał się ukryć, przyczaić nieruchomo na krawędzi dachu. Później niemal jednocześnie stały się dwie rzeczy: Alicia odwróciła się na pięcie, instynktownie mierząc z kuszy, i w tej samej chwili usłyszała trzask pękającego drewna i jęk wyginanej blachy. Zrozumiała, że dach się pod nią zawalił.

Wylądowała na brzuchu i poczuła wirola na plecach. Kusza odleciała w bok. Alicia sięgnęłaby po nóż, ale obiema rękami trzymała wirola na odległość wyciągniętego ramienia. Stwór spojrział w lewo, później w prawo i znów w lewo. Kłapnął zębami, pochylając się nad gardłem Alicii.

Ogromna siła przyłożona do nieruchomego obiektu. Jak długo mogli tak trwać? Dzieci leżą w łóżkach, pomyślała Alicia. Wirol był kobietą, która spoglądała z progu na swoje śpiące dzieci. Pomyśl o dzieciach, powiedziała w myślach Alicia, a później głośno:

– Pomyśl o dzieciach.

Wirol zamarł, na jego twarzy pojawił się smutek. Ich oczy spotkały się w ciemności na krótką chwilę – nie dłuższą niż pół sekundy. Mary, pomyślała Alicia. Masz na imię Mary. Sięgnęła po nóż. Wyślę cię do domu, moja siostró Mary. Uwolnię cię z więzienia twojej egzystencji. Pchnęła w górę, zatapiając ostrze w ciele wirola, zanurzając je po rękopięść w „idealnym punkcie”.

Alicia zepchnęła z siebie nieruchome ciało. Inne leżały tam, gdzie upadły. Wyciągnęła nóż i belt z dwóch pierwszych, a później przyklękła obok trzeciego ciała. Po walce czuła zwykle nieokreśloną pustkę, ale teraz ze zdumieniem stwierdziła, że trzęsą jej się ręce. Skąd ją знаła? Była pewna, że tamta kobieta nazywała się Mary. Wyciągnęła ostrze, a następnie dotknęła nim czoła i serca. Dziękuję ci, Mary, że mnie nie

zabiłaś przed wypełnieniem misji. Mam nadzieję, że połączyłaś się ze swoimi dziećmi.

Mary leżała z otwartymi oczami, wpatrując się w pustkę. Alicia zamknęła jej powieki końcami palców. Nie chciała zostawić biedaczki w takim miejscu. Zarzuciła sobie ciało na ramię i wyniosła na dwór. Na niebie błyszczał sierp księżyca, obmywając wszystko srebrzystą poświatą, dzięki której można było przeniknąć ciemności. Ale Mary nie potrzebowała światła księżyca. Sto lat przeżytych pod nocnym niebem w zupełności wystarczy, pomyślała Alicia, układając ciało na ziemi. Rano odnajdzie je słońce, a prochy rozwieje wiatr.

■ ■ ■

Alicia zaczęła się wspinać.

Minęły noc i kolejny dzień. Była w górach, wędrowała korytem wyschniętego potoku przez wąski wąwóz. Czuła wyraźnie obecność wirol: dokąds się zbliżała. Co chcesz mi powiedzieć, Mary? – pomyślała.

Przed świtem dotarła do wierzchołka wzniesienia. Nagle horyzont odskoczył w dal. U jej stóp, w smaganej wiatrem ciemności, ukazało się dno doliny, a nad nim rozgwieżdżone niebo. Alicia wiedziała, że w pozornie przypadkowym układzie gwiazd można się dopatrzeć postaci ludzi i zwierząt, choć sama nigdy nie nauczyła się tej sztuki.

Później ją ujrzała: ziejącą paszczę ciemności w zagłębieniu przypominającym misę. Otwór miał trzydzieści lub więcej metrów głębokości. Otaczały go łukowato wygięte ławy, jak w amfiteatrze, wyżłobione w skalistym zboczu góry wokół wejścia do jaskini. W powietrzu krążyły nietoperze.

Alicia pomyślała, że to wrota piekła.

Jesteś tam, prawda? Uśmiechnęła się do siebie. Znalazłam cię, draniu.